

Wracalem zmordowany z egzaminów wstepnych do domu. Nie bylo dla mnie w szkole gorszych robót niz te dwie: egzaminowanie i czytanie prac uczniowskich. Zeszyty moich wychowanków przeglądałem rzadko, prowadzili je jednak porządnie, bo gdy już w nie zajrzałem, stawałem się bezlitosny w ocenach. Zmorą nie do uniknięcia były każdego roku matury — czas, gdy siadywało się za zielonym stołem na całe dni, przez okrągłe dwa tygodnie, albo i dłużej. Egzaminy wstępne trwały wprawdzie tylko dwa dni, wymagały za to intensywnej i pospiesznej pracy: oceniania wypracowań pisemnych i przepytywania przydzielonej grupy kandydatów. Toteż zobaczywszy teraz w oknie oczekującą mnie żonę, zawołałem z daleka: — Obiad i drzemka!

Mieliśmy jeszcze zebrać się w liceum o piętnastej, by wydać decyzję, kto zostanie przyjęty do szkoły, a kto nie.

Gdy wchodziłem do sieni, usłyszałem za sobą szybkie kroki i w następnej chwili ktoś przy mnie powiedział chłopięcym głosem: — Panie profesorze!

Zatrzymałem się. Stał przede mną chłopak, którego pamiętałem z egzaminu. Trzymał w ręce pakunek, obwiązany sznurkiem. Kręcił się przez chwilę niespokojnie w miejscu, wreszcie podał mi zawiniątko.

— Co to jest? — zapytałem, nie biorąc paczki do ręki.

Spuścił głowę; miał czarne kędzierzawe włosy.

— Szynka — szepnął.

Roześmiałem się w pierwszej chwili, ale zaraz przywołałem sam siebie do porządku. Powinienem go raczej pouczyć niż skarcić, a tym bardziej wyśmiewać.

— Nie robi się takich rzeczy — powiedziałem. — Zabierz tę szynkę z powrotem do domu. Jeżeli dobrze zdałeś, to i bez niej zostaniesz przyjęty do liceum. A jeżeli źle, to nic ci nie pomoże. Jak ty się nazywasz?

— Jocek.

Zapamiętałem to nazwisko. Teraz skojarzyło mi się z twarzą i z dobrymi odpowiedziami, jakie dawał. Ale jeszcze raz powróciła myśl, którą w egzaminacyjnym pośpiechu odepchnąłem od siebie. Wtedy nie powiedziałem mu, że jego nazwisko jest mi znane. Tu, w sieni, gdy jeszcze raz przypomniałem sobie Janów Lubelski w roku 1939, spytałem go:

— A jak ci na imię?

— Leopold.

To mi nic nie mówiło. Tamten z 1939 roku mógł być jego ojcem lub wujem, lecz także mógł nie mieć z nim nic wspólnego.

— Skąd pochodzisz?

— Z Pastewna.

Znałem tę wieś, leżała około trzydziestu kilometrów stąd.

— A skąd pochodzą twoi rodzice?

— Z Janowa Lubelskiego.

Zmartwiałem. A więc? Zapytałem niecierpliwie:

— Jak na imię twemu ojcu?

— Stefan.

Zamknąłem oczy. Stefan Jocek. Czyżby taki nadzwyczajny traf? Stefan Jocek. Gdy znów otworzyłem oczy chłopak stał już nieco dalej, pod ścianą, wpatrując się we mnie jakby ze strachem.

— Komu miałeś dać tę szynkę? Czy wiesz, jak ja się nazywam?

— Nie, nie wiem. Miałem dać panu profesorowi od polskiego, bo z matematyki jestem piątkowy.

A więc paczka nie była adresowana przez Stefana Jocka imiennie do mnie. Jego syn znalazł się przypadkiem w mojej grupie i chciał mnie zwyczajnie przekupić jako tego, który wystawiał oceny z języka polskiego i miał wpływ na decyzje komisji egzaminacyjnej.

Moja żona otworzyła drzwi od mieszkania i pytała mnie z góry, ze schodów:

— Dlaczego nie idziesz? Postawiłam obiad i teraz stygnie.

Powiedziałem chłopcu:

— Przyjdź do mnie po ogłoszeniu wyników.

— Pan profesor weźmie paczkę dopiero wtedy?

Wyciągnął bezradnie ręce z szynką, owiniętą w pakunkowy papier i obwiązaną konopnym sznurkiem.

— Nie, nie wezmę jej wcale. Chcę tylko z tobą porozmawiać. A teraz zmykaj.

Ruszyłem ku schodom. Gdy zamykałem za sobą drzwi mieszkania, stał jeszcze pod ścianą, spoglądając na mnie z wyrazem zawodu w oczach.

Czy tak samo staliśmy pod ścianą wtedy — ze Stefanem Jockiem?

Nie, to musiało wyglądać inaczej. Myśmy czekali na śmierć. Właściwie zostaliśmy zabici, przeżyliśmy w każdym razie własne rozstrzelanie i oto dalej żyjemy, choć minęło kilkadziesiąt lat od tamtego dnia.

Położywszy się po obiedzie na kanapie, nie zasnąłem.

Tamten dzień odżył. Wciąż jeszcze tkwił we mnie, wciąż jeszcze nie skończyła się wojna. Powraca w nas co jakiś czas, by kłuć nie wyjętymi z serca zadrami, odświeżającymi się ciągle bliznami.

Wchodziłem do Janowa Lubelskiego lasem, od strony Biłgoraju. Przedzieraliśmy się przez ten las razem z poznanym w pewnej leśniczówce kapitanem, który straciwszy kontakt ze swoją jednostką, zamierzał wrócić do domu. Takie same plany miałem i ja. Ale w lesie zgubiliśmy się.

Maszerowałem, co prawda, od Poznania w poszukiwaniu oddziału, który przyjąłby mnie w szeregi, choć nie miałem karty mobilizacyjnej, lecz po dwudziestu dniach tego marszu aż po sam prawie Lwów, po pobytach w przejściowych obozach hitlerowskich w Mostach Wielkich i w Rawie Ruskiej, z których uciekłem, zacząłem wracać na zachód.

Musieliśmy dobrze się ukrywać, gdyż Niemcy wyłapywali takich włóczęgów, traktując ich jako bandytów. Toteż niepewnie szedłem szutrową szosą z Biłgoraju do Janowa, pokrzepiając się po drodze rosnącymi jeszcze na skraju lasu czerwonymi borówkami. Szedłem tą szosą sam, spotykając od czasu do czasu ludzi idących w stronę przeciwną. Kto wtedy rozumiał, w którą stronę trzeba iść, by nie wpaść w łapy wroga? Niektórzy na moje pytanie odpowiadali jedynie: — Niech pan wraca. Niech pan tam nie idzie. Ale ja miałem już dość tej włóczęgi, pragnąłem dotrzeć do jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym najeść się, wykapać, położyć się do prawdziwego łóżka.

Od strony Janowa słychać było strzały — to prawda. Ale strzały rozlegały się także po obu stronach szosy, powtarzając się tajemniczo, zwielokrotnione leśnym echem. To przecież w tym lesie natknęliśmy się z kapitanem na zielony mundur wroga. Kto wtedy wie-

